

GŁOS ŚWIDNIKA

Biblioteka w Świdniku

DEKADÓWKA

Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego
„PZL-ŚWIDNIK”

Nr 22 (596)

28 sierpnia 1981 r.

Cena 1 zł

WSZYSTKIM GO SŁAWIĄ POLSKIE SKRZYDŁA — NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Wystąpienie tow. Z. Daniluka na II Plenum KC PZPR

Czas na ofensywę

Po długich dyskusjach na IX Zjeździe, w czasie których powstały podstawowe dokumenty partyjne takie jak statut i program, powróciliśmy do swoich organizacji i zakładów pracy z uczuciem spełnienia pokładanych w nas nadziei.

Szybownicy nad Radawcem

Aż pięciu zawodników ze świdnickiego aeroklubu startowało w zawodach szybowcowych rozgrywanych w dniach 4–11 sierpnia w Radawcu.

Na klubowych Piratach ze Świdnika latał: Wiktor Sznurowski, Mariusz Prandota, Dariusz Zach i Mirosław Kaczorowski. Na szybowcu Cobra startował Leszek Piłat. Przy pięknej pogodzie rozegrano cztery konkurencje. Etapowym zwycięzcą został Krzysztof Mrozowicz z aeroklubu dęblińskiego, drugi był Wiktor Sznurowski, trzeci Eugeniusz Lal z Lublina. Na piątą konkurencję z powodu pogody czekano do wtoroku. Ostatecznie prawo startu na mistrzostwach Polski i I miejsce zdobył Krzysztof Mrozowicz. Nie uległy też zmianie pozostałe miejsca w czołówce.

Rezolucja

Zaloga Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego zebrana na wiecej solidarnościowym dla wyrażenia swojego poparcia podjętej akcji protestacyjnej przez NSZZ Solidarność Mazowsze stwierdza, że Społeczeństwo Naszego Kraju, ożywione nadziejami i entuzjazmem obudzonymi w pamiętnym SIERPNIU 80, oczekuje niemal od roku na opracowanie i wprowadzenie w życie programu reform społeczno-gospodarczych. Zamiast tego doświadczamy rozszerzających się skutków kryzysu. Rosną kolejki, brakuje wszystkiego także żywności. Na kryzysy gospodarcy nakładają się powtarzające się kryzysy społeczne, narasta napięcie.

Obniżenie ustalonych na poziomie minimum biologicznego kartkowych przydziałów mięsa i wędlin stało się bezpośrednią przyczyną kolejnego masowego protestu pracowniczego. Rząd przed wprowadzeniem decyzji nie raczył nawet skonsultować jej z NSZZ „Solidarność” — związkiem reprezentującym ogromną większość polskich robotników. Nonsensowna decyzja zablokowania przez MO marszu protestacyjnego w Warszawie jest dowodem na to, że władze w dalszym ciągu nie chcą wiedzieć co myśli społeczeństwo. Nie chcą także liczyć się z opinią społeczną, z naszą opinią. Odpowiedzialność za przedłużanie się kryzysu, za pogłębianie się rozdźwięków między władzą i społeczeństwem ponoszą nieudolni kierownicy życia politycznego i gospodarczego.

(Dokończenie na str. 4)

ŁUDZIE TRZYDZIESTOLECIA WSK

Perspektywa Edwarda Chlebnego

Pierwsze zetknięcie Edwarda Chlebnego ze świdnickim zakładem lotniczym nie było sprawą ani przypadku ani wyboru. To Wojskowa Komenda Rejonowa zdecydowała o losie pracownika huty Stalowa Wola wyznaczając WSK miejscem jego służby wojskowej.

Kiedy Edward Chlebny opuścił Stalową Wolę, gdzie po ukończeniu gimnazjum mechanicznego podjął pierwszą w swoim życiu pracę, nie sądził, że nigdy już tam nie powróci. Był początek lat pięćdziesiątych.

Po 2,5 latach służby wojskowej a jednocześnie pracy w WSK, przed oddelegowaniem do cywila Chlebny pojawił się dylemat: zostać, nie zostać. Za decyzją przeciw przemawiały trudne warunki pracy: urządzone na

dziko, ogrzewane koksowymi piecykami hale, wieczne błoto. Z drugiej strony, nic nie ciągnęło Edwarda Chlebnego do huty Stalowa Wola, bo już wtedy widział różnicę przemawiającą za WSK: tu praca była bardziej czysta, nie ustabilizowany jeszcze tok produkcji dawał ciekawość co będzie w przyszłości,

tutaj zadecydowała pozostać wiążąca znajomość. Szale przeważyły dobre zarobki i wyżywienie oraz mieszkanie w hotelu a w przyszłości — spółdzielcze. Dylemat przestał być dylematem. Dziś pan Edward lakonicznie stwierdza:

(Dokończenie na str. 2)

Uchwała KZ PZPR

Potrzebna uczciwa praca

Mając na uwadze pogarszającą się sytuację polityczno-gospodarczą kraju, ciągle zmienne wydarzenia i stopień napięcia społecznego Plenum Komitetu Zakładowego PZPR WSK w Świdniku zajmuje następujące stanowisko:

Kierując się Uchwałami IX Nadzwyczajnego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dążyć będziemy konsekwentnie do:

- wyświechtania źródeł i charakteru niedomagań gospodarczo-społecznych,
- utrzymania kierunku odnowy socjalistycznej,
- umacniania demokracji i prawności w służbie ludzi pracy,
- urzeczywistnienia zasad sprawiedliwości społecznej, stabilizacji i poprawy warunków bytu załogi,
- stworzyć będziemy klimat wzajemnego zaufania, uczciwości, sprawiedliwości i wzajemnego szacunku.

Plenum Komitetu Zakładowego stwierdza, że cała Zakładowa Organizacja Partyjna jest zawsze z załogą, ale kategorycznie po-

(Dokończenie na str. 2)



NASZ KOMENTARZ

Ostatnia fala niepokoju społecznego, jaka ogarnęła cały kraj, niemal w rocznicę Sierpnia 80 dotarła także do Świdnika. Trudno było przypuszczać, że nasz zakład ominie. W trzydziście miesięcy po pierwszym protestie świdnickiej załogi w upalne popołudnie 5 sierpnia, tuż przed zakończeniem pracy na pierwszej zmianie znowu przed biurkiem zebrali się ludzie, tym razem na wezwanie Zakładowej Komisji Związkowej NSZZ „Solidarność”. Ten wiec określono jako solidarnościowy z podjętą wcześniej akcją protestacyjną NSZZ „Solidarność” Regio-

nu Mazowsze. Trudności aprowizacyjne, codzienne udręki, brak jasnej perspektywy na najbliższe nawet miesiące — to czynniki które w Świdniku, tak samo jak w Warszawie, Łodzi czy każdej innej miejscowości przygniatają ludzi do ziemi, sprzyjają emocjom a nie chłodnej ocenie sytuacji. W tej atmosferze trudno znaleźć odpowiedź na pytanie — jak przerwać ten zaklęty krąg beznadziejności i bezsilności? Jak jest wyjście? Czy odpowiedzi na te pytania można szukać w wiecach? Każdy może udzielić sobie na te

(Dokończenie na str. 2)

Ludzie trzydziestolecia WSK

Perspektywa Edwarda Chlebnego

(Dokończenie ze str. 1)

„Polubiłem lotnictwo i zostalem”. Nawet ożenek z dziewczyną z rodzinnych stron, otwierający perspektywę przenosin do Ostrowca Świętokrzyskiego nie zdołał wpłynąć na zmianę decyzji: żona przyjechała do męża, nie odwrotnie.

Edward Chlebny polubił lotnictwo. Na co dzień nie ma wprawdzie do czynienia z latającymi maszynami bo od początku pracuje w kontroli jakości ale nawet weryfikując prawidłowość wykonania detali Mi-2 i IL-86 jest świadomy, że dzięki między innymi jego pracy śmigłowiec unosi się w górę. Każde latające nad Świdnikiem obiekt jest mu bliski, a bliskość ta wynika ze świadomości współudziału w procesie jego tworzenia. W lotnictwie jak rzadko gdzie widać twórczość człowieka, a rodzące się w zakładzie latające cuda wyzwalają za pomocą ludzkich rąk z maszyn, narzędzi

i niewzruszonej materii dusze. Urzeczony nią właśnie pan Edward nie zdołał pohamować ciekawości obejrzenia ziemi z góry, z pokładu śmigłowca — maszyny, w której była cząstka i jego pracy.

Pomimo trzydziestu lat pracy Edward Chlebny nie czuje zmęczenia zawodem. Na emeryturę nie śpieszy się. Kiedy przyjdzie czas opuszczenia zakładu na zawsze, zostawi po sobie następcę — syna. Chlebny — junior ma w tej chwili 16 lat. Uczy się w ZST. W przyszłości planuje pracować w WSK. Czy syn godnie zastąpi ojca? — jest pytaniem nasuwającym Edwardowi Chlebnemu sporo wątpliwości:

„Kiedyś uczeń terminował u starego stażem pracownika. Po ukończeniu przyznania zdawał egzamin. Jego stopień umiejętności wykonania zawodu był wyższy od reprezentowanego przez młodych ludzi dzisiaj. System teoretyczny w szkole nie

wiele daje, a po przyjęciu do zakładu los młodego człowieka nikogo nie obchodzi. Młodzi pracownicy zniechęceni trudnościami uciekają. Stworzyć warunki aby ich przywiązać do zakładu jest sztuką, ale też koniecznością”.

Patrząc z trzydziestoletniej prawie perspektywy na pierwsze lata pracy w WSK, Edward Chlebny nie ukrywa zażenowania.

„Wtedy była nadzieja — mówi — teraz tempo produkcji jest większe. Zapędzony człowiek nie ma czasu dla siebie. Jest owsem postęp techniczny ale nie ma warunków dla rozwoju człowieka. W tym zmaterializowanym świecie ludzie nie szanują się wzajemnie. Trudności socjalno-bytowe stwarzają przesłanki do życia w gonitwie i nerwach. Chciałbym, żeby się coś zmieniło, żeby człowiek przestał być traktowany jak automat, żeby zmknęła z jego twarzy troska, żeby pojawiła się nadzieja na lepsze jutro”.

ew.

Wystąpienie tow. Z. Daniluka na II Plenum KC PZPR

Czas na ofensywę

(Dokończenie ze str. 1)

W rezultacie jednak spokaliśmy się po zakończeniu zjazdu z nagłą ciszą i brakiem działania ze strony władz partyjnych. Wśród robotników słyszy się coraz częściej głosy, że partia znów znikła z areny politycznej kraju. Nie było nas nawet stać na szybkie wydanie i rozprawienie podstawowego dokumentu partii — statutu, konkretnego dowodu odnowy w partii — dowodu zdecydowanego wpływu szeregowych członków PZPR na styl i kierunki jej działania, głębokich, demokratycznych zmian w sposobie wybierania władz i całokształcie życia wewnątrzpartyjnego. Znowu zawiodła w partii operatywność działania, szybkość przepływu informacji, nie doceniono konieczności wyprzedzenia działań przeciwników politycznych.

Stwierdzam, że zostały zawiedzione rozbudzone przebiegiem zjazdu nadzieje na wyhamowanie coraz szybciej postępującego regresu społecznego, gospodarczego i politycznego w kraju, na

wyhamowanie zapędów radykalnych przedstawicieli władz „Solidarności”, oraz nadzieje na szybkie zniwelowanie napięcia społecznego. Daliśmy natomiast przeciwnikom pole do działania i argumenty przeciw nam. Stworzyliśmy próżnię, którą wykorzystali nasi przeciwnicy, rozpętając w kraju nową falę napięć społecznych, strajków i różnorodnych protestów, pogłębiających dramatyczny stan kraju.

Gdzie jest nasz aparat propagandowy, gdzie kadra? Dlaczego nasze organizacje w zakładach pracy nie otrzymały do dziś nowego statutu?

Podczas wczoru organizowanego w Świdniku w dniu 5 sierpnia br. przez Komisję Zakładową „Solidarności” padły stwierdzenia: „zakonczył się zjazd partii — uchwalili on program, który w zasadzie nie jest już nic wart”, oraz „jak rząd nie jest zdolny do działania powinien oddać władzę tym co potrafia rządzić”.

Brak wyprzedzających działań ze strony rządu jest główną przyczyną oddawania inicjatywy. Czyżby nasze kierownictwo o tym nie wiedziało?

Brak inicjatywy centralnego kierownictwa odbija się ujemnie na morale członków partii i wywołuje niezdecydowanie w działaniach inicjatywnych na niższych szczeblach. Brak zdecydowanych działań ze strony rządu odbija się bardzo negatywnie na atmosferze politycznej w zakładach pracy. Nie podejmowanie ostatecznych decyzji w podstawowych kwestiach reformy, cen i rekompensat — powoduje trudną sytuację, gdyż niepewność co do form obliczania rekompensat jest jedną z głównych przyczyn spadku wydajności pracy. Ta sytuacja ma również duży wpływ na zaopatrzenie kraju w żywność. Brak środków produkcji rolnej i trudności zaopatrzeniowe wsi (szczególnie węgla) powoduje powstawanie wśród rolników koncepcji handlu wymiennego. Odbiciem tych tendencji są wypowiedzi członków „Solidarności”: byli u nas chłopcy mówią: „za węgiel damy wszystko”. Chłopi mają żywność trzeba się tylko dogadać. Sytuacja jest więc zła i wymaga jak najszybszej poprawy.

W istniejącej sytuacji partia ma obowiązek skłonić rząd do zamknięcia podejmowania arbitralnych decyzji co wywołuje stany ostrego napięcia, oraz angażowania do konsultacji projektów zmian wszystkich związków zawodowych. KC musi przeciwdziałać również w prezentowaniu przez poszczególnych członków rządu ich osobistych poglądów w trakcie omawiania programów rządowych, szczególnie jeśli czyni to minister przed kamerami telewizyjnymi.

Chciałem tu również zwrócić uwagę na postawę polityczną kadry kierowniczej w zakładach pracy. W wielu przypadkach sprzyja ona nieodpowiedzialnym wystąpieniom niektórych grup pracowniczych. Kadra kierownicza musi pamiętać, że interes polityczny reprezentuje. Zdarza się że obawiając się niepopularności pewnych działań w zakładzie między innymi w zakresie wzmocnienia dyscypliny, egzekwowania zwiększonej wydajności pracy, pomija te kwestie milczeniem, co w rezultacie w krótkim czasie jest w dłuższym okresie jest hamulcem pracy przedsiębiorstw. Wiadomo jednak, że z takim postępowaniem nie można się zgodzić i trzeba wyciągać konsekwencje aż do odwołania ze stanowisk włącznie. Najsurowiej trzeba osądzić tak postępujących przedstawicieli kadry kierowniczej, będących jednocześnie członkami partii. I w tym zakresie partia musi przejść do działań ofensywnych, obejmując nimi kadre kierowniczą wszystkich szczebli administracji i zarządzania.

Wiec załogi



Mandat nieustający

Polska odnowa wprowadziła do życia partii nową instytucję, a mianowicie stały mandat delegata na zjazd. Instytucja ta powstała nie bez oporów i polemik. Zaczęły się parę miesięcy temu, gdy w partii samorzutnie rozwinęła się debata na temat skutecznego systemu gwarancji przeciw recydywie szkoldliwych wypażeń, trwały jeszcze na samym IX Zjeździe, szczególnie w Komisji Statutowej.

— Stały mandat delegata? Ależ to absurd — mówili oponenci. Jakaż pewność, że ludzie ci przez całą 5-letnią kadencję zachowają aż do następnego zjazdu właściwą postawę polityczną, moralną, aktywność, uznanie wyborców?

— Właśnie uznanie trwało-

ści mandatu zobliguje ich do dbałości o jego rangę, spowoduje ciągłe zainteresowanie się losem uchwał podjętych na IX Zjeździe, zdopinguje do walki przeciw ich naruszeniu — odpowiadali rzeczniczy innowacji.

Dlatego zresztą z góry żywie obawy o „wykruszenie” się partyjnych mandatariuszy? A jak jest z posłami? Co prawda, kadencja Sejmu trwa nieco krócej, bo 4 lata. Posłów wybiera się 460, a delegatów na Zjazd wybrano aż 1964, ale mimo tych różnic wiele jest analogii między jednymi i drugimi.

Analogie? Właśnie: analogia pierwsza, że nowa instytucja oznacza jakby utworzenie partyjnego parlamentu. Wieloletnia historia polityczna dowodzi, (Dokończenie na str. 5)

Uchwała KZ PZPR

Potrzebna uczciwa praca

(Dokończenie ze str. 1)

tepiać będzie przejawy nieuzasadnionego szkalowania partii, działaczy i członków rządu. Dbać będziemy o dobro i słuszny interes załogi, umacniać autorytet kadry kierowniczej, a jednocześnie będziemy potępiać samowolę i wszelkie naruszanie norm prawnych i społecznych.

Komitet Zakładowy Partii wysoko ocenia postawę i rozważę klasy robotniczej i ludzi pracy naszego przedsiębiorstwa. Jesteśmy przekonani i wierzymy, że tylko z Wami i całą załogą jest nam po drodze do odnowy moralno-politycznej, do autentycznego socjalizmu. Dlatego wierzymy, że wszelkie nierozważne kroki w naszej załodze zostaną potępione i odrzucone.

Plenum Komitetu Zakładowego jest przeciwnie używania radiowęzła i innych środków masowego przekazu do szkalowania kogo i cokolwiek, jak też siania zamętu wśród załogi przez niepewne informacje, insynuacje i domysły, gdyż w prawdziwej demokracji tego być nie może — a publikacje muszą być pewne i sprawdzone.

Komitet Zakładowy zobowiązuje niniejszą Uchwałą wszystkich członków naszej Podstawowej Organizacji do przestrzegania niniejszych ustaleń.

Towarzysze, jak nigdy dotąd naszej umęczonej Ojczyźnie i rodakom potrzebny jest spokój, ład, porządek, wytrwałość ludzi i uczciwa praca. Dlatego zwracamy się do całej załogi naszego przedsiębiorstwa, do wszystkich członków partii, związków zawodowych „Solidarności”, branżowych, autonomicznych, organizacji młodzieżowych, wszystkich organizacji naukowo-technicznych o zachowanie rozważli, spokoju i ładu w imię nadrzędnych racji naszej wspólnej i jedynej Ojczyzny.

NASZ KOMENTARZ

(Dokończenie ze str. 1)

pytania odpowiedzi, w zależności od własnej oceny sytuacji, od własnego przekonania i wiary w skuteczność takich a nie innych form protestu i wyrażania swoich odczuć. Wiec przebiegał w spokojnej, rzeczowej i poważnej atmosferze. Myślę jednak, że hasła jakimi wiec ozdobił jego organizatorzy nie wzbudziły oczekiwanego entuzjazu zebranych a co najwyżej spowodowały przygnębienie bowiem stwierdzenie o głodującym narodzie, braku chleba są ciężkimi oskarżeniami. I jeszcze jedno. W wiecu uczestniczył przewodniczący zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ Solidarność Jan Bartczak. Jego wystąpienie można streścić krótko jako niewybredny atak na wzmocnienie działań antyspekulacyjnych jakie podjęły

ostatnio władze. Stwierdzenie, że te działania są wymierzone „przeciwko nam” trudno doprawdy zrozumieć. Czy uczestnicy wiecu oczekiwali od przywódcy Solidarności w regionie na takie właśnie „rewelacje”, czy na ogólną ocenę sytuacji w kraju? Na to pytanie załoga WSK chyba powinna otrzymać odpowiedź. Kiedy pisze te słowa w Warszawie trwają obrady II Plenum KC PZPR, w Gdańsku trwają obrady KKP NSZZ Solidarność, wczoraj obradowała Rada Ministrów. Jaki będzie finał? Chyba jak każdy Polak, jeszcze z odrobiną optymizmu oczekując pomyślnego rozwijania nabrzmiałego konfliktu, by wreszcie rzetelnie i bez działań pozornych, we wzajemnym zaufaniu dobrać się do skóry zjawisku, które delikatnie nazwano „krzyżem”.

J. Jurak

Kłopoty świdnickich żeglarzy

Mówiąc o swoich kłopotach, członkowie klubu żeglarskiego LOK przy WSK w Świdniku nie mają na myśli kaprysów aury: warunki do żeglowania na akwenach śródlądowych są wysmiałe; nie ma ich natomiast na łądzie. Dotychczas żeglarze wykorzystywali do konserwacji i budowy łodzi przydzieloną im je-

szcze przez dyrektora Lipińskiego niewielką, nieogrzewaną pracownię o powierzchni 20 m². Tam powstawały jednostki pływające własnej konstrukcji, między innymi widoczny na zdjęciu „Arktros”. Nikt nie narzekał chociaż były ku temu powody. Za to obecnie wobec perspektywy opuszczenia zajmowanego do tej

pory hangaru, wśród członków klubu panuje atmosfera niepokoju o dalsze jego losy. W planach działu projektowania technologicznego i branżowego pracownia żeglarzy jest pozycja

stać żeglarzem jeśli tylko spełni następujące warunki: dobry stan zdrowia potwierdzony przez komisję sportowo-lekarską, pełne 10 lat życia, umiejętność pływania udokumentowana kartą pły-

niki i środki ratunkowe. Ale nie majątek stanowi o wartości przedsięwzięcia, lecz cel, któremu zgromadzone dobro służy: wypocznik.

Na pytanie, jakie formy wypoczynku oferuje załódze klub — odpowiada jego komandor — Edward Wieczorek.

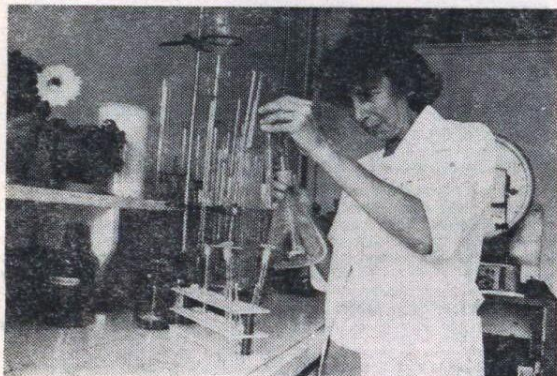
„W bieżącym roku w ramach wypoczynku sobotnio-niedzielnego klub prowadzi na szeroką skalę akcję „Żegluj razem z nami”. Baza znajduje się nad jeziorem Łukcze. Tam zgrupowany jest sprzęt w ilości czterech jednostek pływających oraz deska wind surfingowa. Członkowie klubu przez cały sezon pełnią specjalne dyżury nadzorując i udostępniając sprzęt wszystkim chętnym. Prowadzimy również dość szeroką akcję na Mazurach. Aktualnie żeglarze pływają po jeziorach mazurskich na dwóch łodziach: Karlinie i Orionie. Rejsy ze zmianą załóg co dwa tygodnie rozpoczęły się tam 15 czerwca, trwać będą do 15 września.

Ludzie trzydziestolecia WSK

KRYSTYNA KNAPIŃSKA

Bez względu na porę roku, codziennie poza niedzielami, dojeżdżaliśmy pociągiem towarowym do stacji Świdnik, skąd na przełaj, po przekątnej przez lotnisko docieraliśmy do zakładu. Był to

— Nigdy nie przypuszczałam, że 30 lat to jest tak krótko, że tak szybko ten czas upłynie. Poza tym chyba zdecydowały względy a właściwie tradycje rodziny. W mojej rodzinie przywią-



rok 1951, a zakład był właściwie jedną wielką budową. Obowiązkowym ekwipunkiem każdego z wówczas tu pracujących były gumowe buty, które nie zawsze można było z błota wyciągnąć — tak wspomina początek swej pracy Krystyna Knapieńska, chemik, od 30 lat związana pracą zawodową z Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku.

— Dlaczego wybrała pani Świdnik na miejsce startu zawodowego?

— To nie ja wybierałam. Po ukończeniu Liceum Technologiczno-Chemicznego otrzymałam nakaz pracy właśnie w Świdniku. Miał ten nakaz obowiązywać przez trzy lata, wtedy przerażały mnie te trzy lata, te pionierskie warunki...

— No właśnie, jakie one były?

— Rozpoczynałam pracę w biurze technologiczno-konstrukcyjnym, później postanowiono zorganizować laboratorium. Była to właściwie groteskowa placówka, maleńkie stoły, bez wyciągów, brak podstawowego sprzętu. Pomieszczenie trzeba było ogrzewać we własnym zakresie. Służył do tego piecyk, tzw. koza z wyprowadzoną rurą za okno a spalaliśmy drewno przynieszone ze stolarni. W zimie zamiast w fartuchach, których zresztą nie było, pracowaliśmy w paltach. Nikt nie myślał wtedy o wygodach, chodziło tylko aby warunki takie jakie one były chociaż trochę złagodzić. W osiedlu przyfabrycznym życie też miało swoje specyficzne cechy. „Klimat” był tu bardzo trudny, szczególnie dla młodych dziewcząt. Miesto a właściwie szybko zbudowany zespół baraków zamieszkiwały załogi budowlane, przybyłe z różnych stron Polski, w części bez jasných życiorysów i przeszłości. Kadra mieszkała w Lublinie. Od momentu, gdy ludzie zaczęli sprowadzać się do Świdnika z rodzinami, zmieniało się oblicze miasta, zle zwyczajnie ustępowały, można było próbować wyjść z domu nocą.

— Było więc trudno. Co zatem zdecydowało, że pani tu pozostała?

zanie do jednego miejsca pracy było bardzo cenione, szanowane. Teraz nie jestem akurat przekonana czy słusznie. Zresztą mit przywiązania do pracy przeżył się.

— Od 16 lat pracuje pani w laboratorium ochrony środowiska i higieny pracy. Ma pani na co dzień do czynienia z oceną warunków pracy, do porównań. Jak ta ewolucja wygląda u pani odczucie?

— Praktycznie wszystko co w latach pięćdziesiątych odbudowano, zbudowano, uruchomiono odbywało się kosztem wielu wyrzeczeń, kosztem zdrowia wielu młodych ludzi. Nikt jednak wtedy nie oglądał się za siebie, każdy miał jakąś swoją wizję przyszłości. Teraz nie wyobrażam sobie abym swoje dziecko wysłała na taką budowę lat pięćdziesiątych. Później wprowadzono wiele usprawnień, postęp wkroczył we wszystkie dziedziny życia produkcyjnego. Praca stała się bardziej humanitarna. Warunki pracy te jakie były z tymi jakie są nawet trudno porównywać. Teraz ludzie młodzi jasno zdają sobie sprawę co sobą reprezentują i co mogą wymagać. Różnie takie postawy są oceniane ale ja myślę, że każdy człowiek powinien chcieć lepiej żyć, coraz wygodniej pracować, każdy następny rok powinien być lepszy od poprzedniego. My cieszyliśmy się z tego co było, że z każdym dniem było łatwiej — teraz chyba ludzie mają mniej nadziei, mniej jasno widzą przyszłość. To na pewno nie sprzyja entuzjazmowi.

Rozmawiałem jeszcze jakiś czas z panią Knapieńską na tematy aktualne. Chciałem poznać jej ocenę tego co w sierpniu 1980 r. przeżyła Polska, być może chciałem usłyszeć odpowiedź na pytanie — czy się zawiodła? Jednak moja rozmówczyni prosiła aby ta część rozmowy nie była publikowana.

— Dziękuję więc za rozmowę i do spotkania przy okazji następnego jubileuszu.

rozm. ak.

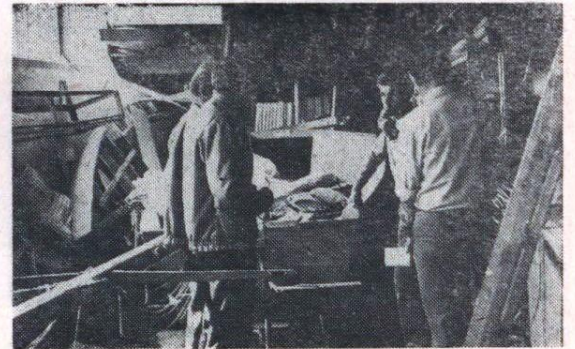


przeznaczoną do rozbiórki. Na jej miejscu ma powstać hala produkcyjna odcinająca wydziały szkoldliwe. Co stanie się z tworzoną od szeregu lat tradycją oraz dorobkiem klubu, skoro zło konieczne zmusza go do opuszczenia dotychczasowego warsztatu szkoldliwego - remontowego?

Klub żeglarski działa przy WSK w Świdniku już od 20 lat. Zdążył w tym czasie wychować niejedno pokolenie żeglarzy. Jak twierdzi członek zarządu do spraw szkolenia Marek Siliwiński, systematycznie prowadzone są kursy na stopień sternika i żeglarza jachtowego. W tym roku ten podstawowy stopień upoważniający do prowadzenia łodzi do 20 m² żagla, czyli praktycznie do żeglowania na wszystkich jednostkach jakie klub posiada, uzyskało 11 osób. Dalsze uprawnienia, adepci sztuki żeglarskiej zdobywać będą już przed komisją okręgową.

„Żagle” przestały być sportem elitarnym. Każdy pracownik zakładu lub uczeń ZST może zo-

wącką, ukończenie kursu uwieńczonego pozytywną oceną z egzaminu.



Najbardziej wymiernym efektem działalności klubu jest jego majątek szacowany na ok. 3 mln zł. Tworzą go przede wszystkim jednostki pływające, osprzęt, sil-

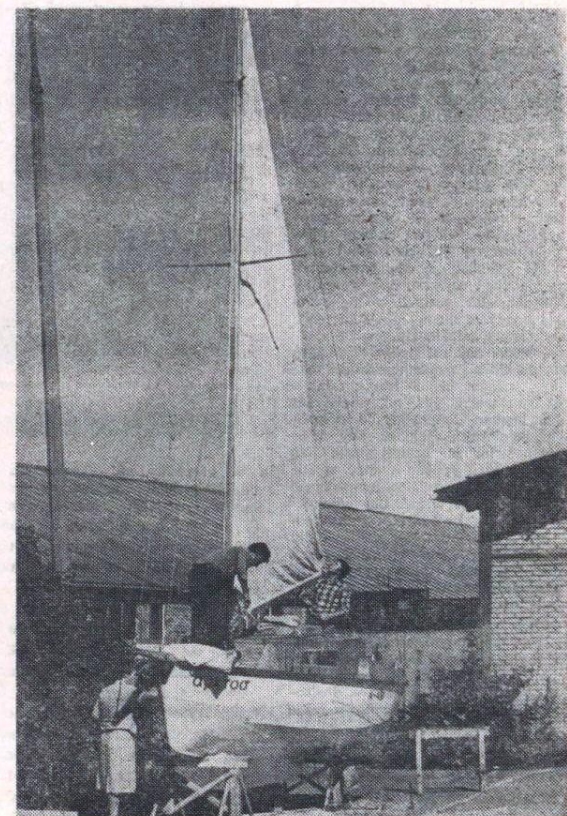
10 osób z naszego klubu pływało w tym roku po Morzu Bałtyckim bez prawa wchodzenia do obcych portów. Pełnomorskie rejsy rozdzielane są jak zwykle przez Lubelski Okręg Żeglarski. W sumie z „wczasów pod żaglami” skorzysta w tym sezonie ponad 50 osób”.

Członkowie klubu sami dbają o sprzęt. Z niewielkich dotacji otrzymanych od związków zawodowych (w tym roku 80 tys.) i zdomowanych materiałów powstają takie cuda jak widoczna na zdjęciu czterosobowa łódź o powierzchni żagla 15 m². Główny jej konstruktor i budowniczy wraz z ekipą budowali Arktrosa przez dwa lata. 5 sierpnia łódź wyruszyła na Mazury. Bierze udział w akcji „wczas pod żaglami”. Następna tego typu jednostka pływająca jest w trakcie budowy. Prace zaawansowane są w 50 proc. Pod przewodnictwem Marka Siliwińskiego wykonują je uczniowie ZST.

Konfrontując przesłanki działalności klubu i jego dorobek z decyzją eksmisji, troska świdnickich żeglarzy okazuje się być słuszną. Na szczęście nie tylko bezpośrednio zainteresowanych martwi dalszy los klubu. Jego działalność znajduje przychylny w reprezentowanych przez większość załóg związków zawodowych. Przewodniczący NSZZ Solidarność wyraził ją w następujących słowach:

„Sądzę, że znajdziemy wspólny język z dyrekcją aby zapewnić wam na dalsze lata warunki działania. Zakład jest przecież obszerny przy odrobinie dobrej woli znajdzie się dla was pomieszczenie.”

Komandor Edward Wieczorek widzi rozwiązanie problemu w przekazaniu klubowi przynajmniej części zajmowanej kiedyś przez łódki wiaty. Jego zdaniem pomieszczenie to stwarza dobre warunki na urządzenie warsztatu szkoldliwego-remontowego. Oby wola żeglarzy stała się wolą bogów. Ewa Urbańska



Kolejne dziecko klubu żeglarskiego — czterosobowa łódź tuż przed nadaniem jej imienia Arktros.

Przed świętem lotnictwa

Spojrzenie prawdziwe w oczy

Na dobrą sprawę prawda o polskim lotnictwie wcale nie leży pośrodku. W zależności od trendów politycznych zmieniła się nieco geografia tego przysłowiowego środka, tak jak i oblicze naszych zakładów produkujących maszyny latające. Mimo przesadnego czasem optymizmu prasy powojennej polskie lotnictwo, a szczególnie rodzime produkty nie latały zbyt wysoko! I wcale nie wynikało to z braku oryginalnej myśli konstrukcyjnej...

Przyczyny takiego, a nie innego kształtu produkcji lotniczej są dosyć skomplikowane i w jednym, krótkim artykule nie sposób dotrzeć nawet do części obiektywnie funkcjonującej prawdy. Od tych rozważań natury bardziej ogólnej przejdźmy do omawiania produkcji śmigłowców w świdnickiej WSK.

Tzw. lata tłuste(?) w świadomości przeciętnego pracownika wytwórni wiążą się z wdrożeniem i rozwojem produktów radzieckich, pochodzących z biura konstrukcyjnego M. Miła. Najpierw był to Mi-1, a następnie kolejne wersje rozwojowe oznaczane symbolem SM. Szukając pewnych analogii i skojarzeń była to taka świdnicka „Warszawa”, której w przemyśle samo-

chodowym za model wyjściowy posłużyła radziecka „Pobieda”. Ale nie to jest takie znów istotne. Wówczas bowiem pojawił się ten nowy, specyficzny kształt polskiego przemysłu lotniczego. Kolejne lata przynosiły już tylko zacienianie się wiewiórek kooperacyjnych i wymianę myśli technicznej.



Sytuacja ta wygodna w początkowej fazie podnoszącego się z ruin rodzimego przemysłu, niosła również pewne niebezpieczeństwa, których nie uniknięto w porę. Mianowicie nasza kadra inżynieryjno-techniczna poszła niejako na łatwiznę i do pełni szczęścia wystarczyło jej jedynie modernizowanie (i to w niezbyt szerokim zakresie) radzieckiej konstrukcji. Śmigłowce te spełniały określone funkcje na poszczególnych etapach rozwoju, ale pewne reżimy produkcji licencyjnej wykluczały wciąż poszukiwania rodzimych konstruktorów. Byłoby niesprawiedliwym twierdzić, że takich poszukiwań nie było w ogóle, ale ich efekty kończyły niezbyt udane pojedyncze egzemplarze, które niby wyrzut konstrukcyjnego sumienia wstydliwie zagracały zakamarki fabrycznych hal. Krytyczna ocena tych pomysłów miała się nie jako z celem, gdyż wiadomo, że owe próby odzwierciedlały raczej niezłe samopoczucie naszych inżynierów i techników, niż chęć znalezienia czegoś nowatorskiego na niwie konstrukcji śmigłowcowych.

WSK stanowiła zatem w naszym przemyśle lotniczym coś więcej, niż zwyczajną montownię latających maszyn, lecz od tej konwencji nie odeszła również zbyt daleko. Zresztą, było to naturalną konsekwencją przyjętego modelu funkcjonowania przemysłu lotniczego, o czym wspominałem wcześniej.

Momentem znaczącym w historii świdnickiej wytwórni było wdrożenie czy jak kto woli rozpoczęcie produkcji kolejnej konstrukcji latającej Miła, oznaczonej symbolem Mi-2. Ten śmigłowiec stanowił rzeczywiście

we. Oczywiście wymieniałem jedynie niewielką część istotnych różnic pomiędzy tzw. starym i nowym produktem.

Nad miastem zaczęły więc królować turbinowe ważki, które charakterystycznym gwizdem silników oznajmiały pewien postęp jaki dokonał się w świdnickiej wytwórni.

Hale montażową zaczęły więc opuszczać rokrocznie coraz bardziej doskonalone śmigłowce Mi-2. Jedne zmiany konstrukcyjne podnosiły ciężar własny maszyn z niektórych serii, inne starały się wpłynąć na „odchudzenie” przyćmawionego śmigłowca. Elektrycy upraszczali kolejne wiązki połączeń, wprowadzano coraz więcej przyrządów z tzw. osprzętu — rodzimej produkcji, ale tak na dobrą sprawę poczytywać już dziś Mi-2 niewiele zmienił się dla postronnego, niezbyt obeznanego w szczegółach obserwatora! Ta sama przesadzista nieco sylwetka, dwa turbinowe silniki itd.

Jednak coś się zmieniło w tym świdnickim produkowaniu maszyn latających. I nie chodzi o produkowany już od wielu lat śmigłowiec licencyjny, a o konstrukcje takie jak choćby „Sokół”, którymi zachwycała się także nasza prasa — choć w sumie napisała o samej maszynie nie tak znów wiele. Czy „Sokół” jest w obecnej chwili uchwyceniem Pana Boga za nogi — dla świdnickiej wytwórni...? I tak i nie! To samo tyczy innych zaawansowanych prototypów.

Konkurować na światowym rynku lotniczym, to oznacza posiadać najnowocześniejszą technologię, nieszablone rozwiązania konstrukcyjne, a cę powinno iść z tym w parze — doskonałe parametry eksploatacyjne produkowanego sprzętu.

Czy jesteśmy w stanie sprostać tym wymaganiom stawianym przed nowoczesnym przemysłem lotniczym? Nawet jeżeli odpowiedź — tak, to trzeba od razu dodać: jakim kosztem będzie się to odbywać? Choćby problem wyposażenia radio-nawigacyj-

nego. Przecież stosowane obecnie w lotnictwie radiostacje i przyrządy upraszczające nawigację daleko wykroczyły poza to, co może oferować rodzimy przemysł elektroniczny. Zatem, aby sprzedawać sprzęt odbiorcy zachodniemu musimy z góry zakładać import tego niezwykle drogiego wyposażenia. Zgoda, nabywca płacąc za maszynę pokrywa i koszt tego drogiego wsadu, ale na świecie jest jeszcze kilka zakładów produkujących śmigłowce: w USA, Francji, Włoszech, Wielkiej Brytanii itd.

Czy świdnickie „Sokoły”, „Kanie”, „Taurusy” będą konkurencyjne dla produktów opuszczających taśmy montażowe u zachodnich producentów, a nawet na dobrą sprawę trzeba się zastanowić, czy jesteśmy w stanie konkurować z radzieckim przemysłem śmigłowcowym? A prava rynku są nieublagane — o czym przekonaliśmy się ostatnio na własnej skórze i nie tylko w dziale produkcji lotniczej.

Daleki jestem od straszenia kogokolwiek, nie jestem także wyrocznią w dziedzinie przemy-

ślu lotniczego, ale przecież podobne refleksje mogą nasunąć się każdemu zainteresowanemu rozwojem produkcji lotniczej w Świdniku. Trzeba inaczej niż dotychczas spoglądać na wszelkie rodzaje się wątpliwości i nie chodzi tu również o podważenie celowości rozwoju produkcji śmigłowców, bo zawsze najłatwiej coś przekreślić, zaprzepaścić — najtrudniej budować. Chodzi mi jedynie o głębsze, bardziej gos-

krywiają Ameryki być może woleją u zainteresowanych rozwojem polskich skrzydeł chwilową zadumę lub refleksję, a jeśli zaowocowałyby one jakimś zmianami poczynionymi na lepsze, to byłoby znaczne osiągnięcie.

Nie wynikiło moje pisanie z chęci moralizowania, ale z poczucia troski, bo w świdnickim lotnictwie zostawiłem trochę i swojego serca, a kto chociaż raz



podarskie myślenie na wielu stołkach: konstruktorów, producentów, ekonomistów, czy szeroko rozumianych decydentów. Nie stać już nas na pochopne utopienie w błocie ani jednej złotówki — o innych walutach nawet nie wspomnę... Zatem, rozważania tego typu choć nie od-

zetknął się ze skrzydłatą czy szeroko rozumianą produkcją lotniczą, na zawsze pozostawi w sobie odrobinę dla niej ciepła.

Bo jakby na to nie patrzeć, to przecież chodzi o chwałę polskiego lotnictwa!

Zdzisław P. Karpieński

**Sprostowanie**

W artykule pt. „Komu przydzielić?” opracowanym na podstawie protokołu kontroli komisji do badania nieprawidłowości i nadużywania stanowisk służbowych podano mylną informację, że ob. Feliks Kamiński otrzymał w 1976 roku talon na Fiata 126p i w 1979 roku promesę na 300 dolarów (Głos Świdnika nr 17 z 1.07.81 r.). Faktycznie otrzymał tylko talon na Fiata 126p, natomiast promesę w 1979 roku otrzymał również Kamiński ale o innym imieniu i z innego działu. Za pomyłkę w protokole kontroli przeniesioną następnie do artykułu w Głosie komisja przeprasza ob. Feliksa Kamińskiego.

Rezolucja

(Dokończenie ze str. 1)

Cierpliwość robotnicza jest na wyczerpaniu. Domagamy się od władz rzeczywistych, a nie pozorowanych działań zmierzających do przełamania kryzysu. Domagamy się uwzględnienia głosu opinii publicznej.

Za najpilniejsze żądania uznajemy:

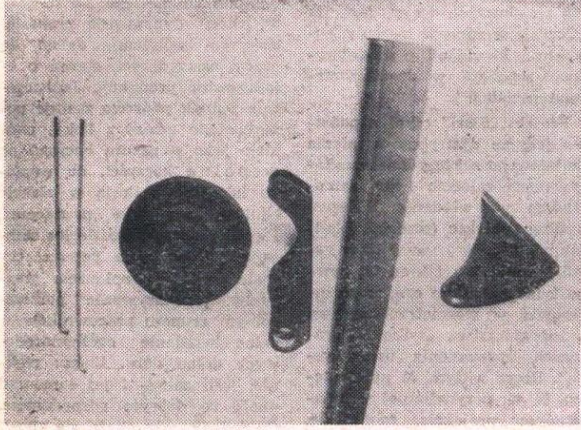
- wprowadzenie społecznej kontroli nad produkcją, transportem i dystrybucją żywności,
- wprowadzenie w życie reformy gospodarczej opartej na autentycznych samorządach pracowniczych,
- utrzymanie dotychczasowych norm mięsa i wędlin,
- uchwalenie przez Sejm PRL ustawy o związkach zawodowych w kształcie uzgodnionym z NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”,
- udostępnienie „SOLIDARNOŚCI” środków masowego przekazu.

Przestrzegamy wszystkich, którzy liczą na to, że Polacy dadzą się oszukać lub uspić. Chcemy żyć i pracować w spokoju, ale nie może to być rodzaj spokoju, który panował w naszym kraju przed SIERPNIEM 80.

W imieniu Załogi WSK PZL-Świdnik
Komisja Zakładowa

WALKA Z NADWYŻKAMI

Odkąd powołana została komisja do spraw badania stanu zapasów materiałowych, tj. od czerwca w magazynie surowców wtórnych panuje wzmógłony ruch. Trafiające tu części, półfabrykaty i wyroby gotowe przeznaczone są do fizycznego złomowania lub po dokonaniu wyceny — do sklepu przyzakładowego. Są wśród nich detale dla potrzeb remontowo-instalacyjnych, części śmigłowe, materiały chemiczne i inne o różnym przeznaczeniu, sprządzane lub wykonywane w przedsiębiorstwie.



Przykładem służą widoczne na zdjęciu części motocyklowe w kolejności: szprychy, tulejka, uchwyty silnika, osłona górna i uchwyt lampy przedniej, które w ilości około 250 tys. sztuk czekają na transport do huty.

W protokole nr 2/81 spisanim przez zakładową komisję weryfikacyjną do spraw materiałowych czytamy:

„Komisja zapoznała się z przedstawionymi dokumentami przedmiotowych spraw materiałowych, wysłuchała informacji i wyjaśnień zainteresowanych stron, o-

pinii specjalistów oraz przeanalizowała wnioski i propozycje działów TMT, TKM, TKT, HKO, HGM, OKS dotyczących deprecjacji i złomowania zbędnych środków obrotowych w układzie rodzajowo-materiałowym (...).

Wymienione propozycje pozostały po zaniechanej produkcji motocykli WFM, M06, M06B1 i nie ma możliwości ich wykorzystania w bieżącej produkcji oraz brak jest nabywców celem ich odkupienia. Jak wykazała szczegółowa analiza służb technicznych, wymienione części winny

być złomowane. Komisja zakładowa po rozpatrzeniu spraw postanawia: wymienione pozycje przekazać do magazynu surowców wtórnych celem fizycznego złomowania.

Pracownicy magazynu materiałów wtórnych twierdzą nie bez racji, że „marnuje się materiał”: Te czy inne detale ludzie kupiliby „z pocałowaniem ręki”. Część pozycji ujętych w protokole znajduje się rzeczywiście w przyfabrycznym sklepie, ale los tych widocznych na zdjęciu jest już przesadzony — huta.

Pojawia się więc pierwsza wątpliwość: na jakim podstawie komisja twierdzi, że części motocyklowe o których mowa nie mają nabywców? Na to pytanie odpowiada przewodniczący zakładowej komisji weryfikacyjnej jednocześnie główny specjalista do spraw gospodarki materiałowej mgr Józef Dobroń:

„Decyzji przekazania nadwyżek na złom nie podejmuje się a i hoczecz po głębokim namyśle. Dokonuje tego komisja w skład której wchodzi nie tylko pracownicy służb handlowych ale i technicznych: konstruktorzy, technolodzy. Po zgłoszeniu przez wydziały nadwyżek przez okres od 2-3 lat trwa akcja poszukiwania możliwości ich wykorzystania na terenie przedsiębiorstwa czy poza nim. Zestawienia zbędnych w naszej produkcji pozycji z ofertą sprzedaży rozsyłamy do szeregu zainteresowanych zakładów, szkół, BOMI-S-u, sklepu przyfabrycznego. Materiały do upłynnienia sprzedajemy państwowym lub prywatnym odbiorcom lub wręcz dajemy za darmo; zdeprecjonowane nie obciążają i tak majątku zakładu, a zalegając w magazynach blokują miejsce. Kiedy już rzeczywiście nie można wykorzystać czegoś w procesie produkcji — o czym decydują służ-

by techniczne — lub nie ma nabywców, nadwyżki przekazujemy do fizycznego złomowania. Jest to ostateczność”.

Sądę, że po przedstawionej argumentacji nie można doszukiwać się winnych ani w służbach technicznych ani w zakładowej komisji weryfikacyjnej. Gdzie popełniony został błąd bo istnienia takowego wobec namacalnych dowodów marnotrawstwa, nie można nie kwestionować.

Oto wypowiedź głównego specjalisty do spraw gospodarki materiałowej:

„Opracowany system obiegu materiałów w przedsiębiorstwie

jest bardzo dobry. Można go traktować jako wzór dla innych. Są odpowiednie akty normatywne, np. polecenie dyrektora, że wszelkie zmiany konstrukcyjne i technologiczne powinny być wprowadzane przed uprzednim wykorzystaniem materiałów. Gorzej jest z realizacją zarządzeń. Efekt nieprzestrzegania ich to większość nadwyżek, zalegających w magazynie. Z jednej strony kłopoty sprawiają nam niedobory, z drugiej — nadwyżki. Trudno jest tak manewrować aby znaleźć złoty środek”.

ew.

Mandat nieustający

(Dokończenie ze str. 2)

że ta najwyższa władza w partii może być bardzo skutecznym instrumentem inicjatywy, może torować nieustannie drogę postępowi, przede wszystkim jednak stanowi najlepszy środek partyjnej kontroli. Oczywiście z historii innych państw, a także naszej własnej wiemy, że parlament może być tylko demokratyczną dekoracją, że jego działania można wyreżyserować i uładzić tak, że stanie się tylko maszynką przyklaskującą każdej decyzji administracji.

Kiedy dochodzi do takich deformacji? Wtedy, kiedy np. parlamentowi „wyrwie się zęby” krytyki i analiz, jak to było niedawno w naszym Sejmie, pozabawionym w gierkowskiej dekadzie Najwyższej Izby Kontroli. Także wtedy, kiedy sami posłowie dobierani są na zasadzie różnych „kluczy”, a nie ich osobistych walorów. Kiedy walorem najwyższym jest uległość, posłuszeństwo i bezkrytycyzm.

Pod tym względem delegaci na IX Zjazd stanowią gremium zupełnie odmienne. Wybierano ich bez jakiegokolwiek reżyserii i wygodnego dla instancji selekcjonowania. Wybierała ich bowiem baza partyjna, z własnej woli, według własnych kryteriów.

Partijni mandatariusze — to najczęściej ludzie o poglądach niezależnych od komitetów i aparatu, o postawach często „rogatych”. Ludzie zdecydowanie przeciwni dawnemu, fasadowemu stylowi kierowania partią, nie uznający dyrglowania, nie nawykli do okłasków.

Oprócz tych walorów moralnych delegaci na IX Zjazd odznaczają się dobrą znajomością życia, spraw produkcji, wyczułeni są na nonsensy i biurokratyczne narowy naszego aparatu władzy. Można to powiedzieć o postawie 307 delegatów — robotników, o 190 chłopach, no i oczywiście o bardzo licznej grupie pracowników umysłowych, głównie złożonej z inżynierów, techników i dyrektorów. Grupa ta liczyła aż 944 osoby, co było zresztą źródłem różnych kontrowersji i obaw, że „ci/inteligenci” wykrzywią na zjeździe robotniczo-chłopską linię partii. Nie wracając do tych lewackich, sztucznie zresztą rodmuchiawnych alarmów, wypada stwierdzić, że pod względem fachowości delegaci ci reprezentują wysoką klasę i naprawdę mają wiele do powiedzenia o drogach wychodzenia z kryzysu, o tworzeniu programu na jutro.

Jakie uprawnienia wynikające z trudności mandatu mogą być dla partii najbardziej cenne? Myślę, że przede wszystkim prawo do codziennej kontroli jak w praktyce wciela się w życie uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu. Bacznie, aby linia socjalistycznej odnowy rzeczywistości zwyciężała, a nie pozostała tylko w zjazdowych dokumentach. Zagroza jej już dziś wiele niebezpieczeństw: skłonność do anarхии i ustawicznych protestów, do wiecowania i strajków z byle jakiego powodu. Zagroza ociężałość części administracji,

zabetonowanie jej niektórych komórek i niechęć do niezbędnych reform. Ujawniły się też wpływy sił opozycyjnych na rozkład instytucji państwa i gospodarki. Nie umilkły robiające głosy lewaków, atakujących już nazajutrz po IX Zjeździe niektórych członków KC będących aktywnymi rzeźnikami reform.

Oczywiście, czło tym zagrożeniom stawić musi przede wszystkim nowy Komitet Centralny. Między zjazdami o stanowiu przeciw najwyższą władzę PZPR. Delegaci na IX Zjazd tkwiąc stale w swoich środowiskach, doskonale znając nastroje panujące w fabrykach, kopalniach, stoczniach, na wsi, w instytucjach naukowych itp. muszą mieć szeroko otwarte oczy na to, co się dzieje w kraju i w samej partii. Trwałość ich mandatów daje prawo do zwolnienia nowej sesji zjazdu, jeżeli ponad połowa tych działaczy uzna to za niezbędne. Ci delegaci, według najwzrostszych ustaleń, stanowić będą gremium Krajowej Konferencji PZPR.

Może dziś jeszcze nie każdy z nich zdaje sobie sprawę z własnej rangi politycznej — zupełnie innej niż delegatów na poprzednie zjazdy, których mandat wygaszał z chwilą opuszczenia Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki. Dlatego chyba o praktyczne umocnienie tej rangi dbać powinny wszystkie komitety partyjne. Delegaci na IX Zjazd to nowi „gatunek” aktywny polityczny. Nie ma jeszcze dziś doświadczeń o jego praktycznym usytuowaniu w działaniach instancji partyjnych. Można jednak z góry założyć, że pozycja delegatów pod względem udziału w pracach komisji problemowych, dostępu do źródeł informacji zarówno wewnątrzpartyjnej jak ekonomicznej, politycznej itp. musi być co najmniej równa pozycji członków komitetów wojewódzkich. Bo tylko najpełniejsza orientacja w tym, co się dzieje w partii i kraju może pozwolić tym partyjnym „posłom” na rzeczywistą kontrolę realizacji linii Zjazdu, na dostrzeżenie wszelkich od niej odchyłań.

Mandatariusz na zjazd nie jest rzeźnikiem instancji, ani tym bardziej aparatu partyjnego. Jest reprezentantem bazy partyjnej. Zachować powinien więc pewną autonomię i niezależność od tych ogniw w sferze oceny bieżącej polityki partii. Aby to było nie tylko pobożnym życzeniem, konieczna jest żywa aktywność wojewódzkich zespołów delegatów na IX Zjazd. Nie mogą one po Zjeździe zapasać w sen ale ustawicznie mieć otwarte oczy na sytuację w kraju i w partii. Ich pomoc dla delegatów, inspiracja do działania, budzenie twórczego krytycyzmu — to warunek skuteczności nieustającego mandatu. Jeden z warunków. Bo warunkiem głównym decydującym jest a utencjonalna, codzienna łączność z własnym środowiskiem, z członkami własnej komórki partyjnej, z wyborcami, którzy ten mandat zaufania powierzyli najgodniejszym.

Lech Winiarski

MIESZKANIA DZIŚ I JUTRO

Pragnienia „anonimowego odbiorcy”

W jakim domu chcieliby Państwo mieszkać? Pytanie takie zadano 540 rodzinom z krakowskich osiedli, wzniesionych w minionym pięcioleciu. W jednorodzinnym — odpowiedziało 2/3 ankietowanych. A jeśli już w bloku, powinien to być dom niewysoki, najwyżej czteropiętrowy, z 20—30 mieszkaniami...

Sondaże te stanowią fragment badań, prowadzonych w latach 1976—1980 przez Instytut Kształtowania Środowiska. Grupa pracowników Instytutu wysłuchała opinii świeżo upieczonych mieszkańców nowych osiedli w Warszawie, Gdańsku, Łodzi i Krakowie na temat ich osiedla, domu, mieszkania. Rozmówców wybrano drogą losowania. Wyniki badań Instytutu Kształtowania Środowiska, a także Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, który prowadził podobne sondaże

port ma być wykorzystany przy określaniu polityki mieszkaniowej naszego państwa w obecnym dziesięcioleciu.

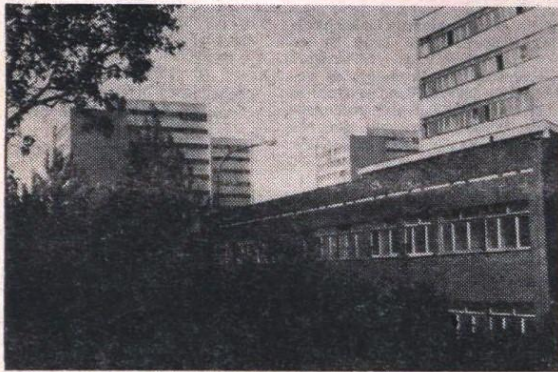
Chciałbym podkreślić: badania przeprowadzone wśród rodzin, które zajmowały nowe mieszkania nie dłużej niż rok, w których jeszcze nie wygasła radość z otrzymania upragnionych kluczy. A jednak ocena nowego lokum była na ogół krytyczna. Jak już wspominałam, większość ankietowanych była niezadowolona z wysokości swoich domów. Nie jest to zresztą żadne objawienie, opinia publiczna zawsze bardziej cenila domy niskie, dostosowane do „ludzkiej skali”. Problem tylko w tym, że nikt się głosem opinii nie przejmował. Dziesięć lat temu w budynkach wysokich, liczących pięć i więcej pięter, znajdowało się co trzecie mieszkanie. Dzisiaj — co drugie, cho-

potęgują uczucie wyobcowania.

Z badań IKS wynika, że tylko co druga rodzina zadowolona jest z wielkości swojego — przypominał: nowego! — mieszkania. Zarzuty dotyczą przy tym nie tyle powierzchni pokoi, co pozostających pomieszczeń. A zwłaszcza kuchni, gdzie 75 procent ankietowanych jada posiłki w dni powszednie. Wysiłki architektów, żeby narzucić społeczeństwu model kuchni — laboratorium, w której tylko przygotowuje się posiłki, ale nie jada i nie spędza czasu, są dla mnie niezrozumiałe. Jeśli statystycy pan Kowalski chce jadać w kuchni — niech w niej jada! Wszystko, co można w tej sprawie zrobić, to zaprojektować kuchnie odpowiednio duże i funkcjonalne. Z rozwiązania takiego będą zadowoleni także ci, którzy jadają posiłki w pokojach.

Projektanci mieszkań i lokatorzy nie zgadzają się zresztą w wielu innych sprawach. Z badań IKS wynika, że mieszkania urządzane są z zasady inaczej, niż przewidywali projektanci. Weźmy jako przykład ustawienie miejsc do spania, które jest niejako z góry „wpisane” w układ funkcjonalny mieszkania (wynika z długości bocznych ścian, rozstawienia drzwi, okien itp. względów). Okazuje się, że tylko 18 procent rodzin rozmieściło swoje wersalki i tapczany tak, jak zaplanowali projektanci. Co oznacza, że układy funkcjonalne mieszkań zostały zaprojektowane nieczytelnie, nieprzekonywająco, czyli po prostu — kiepsko. Każdy, kto wprowadził się w ostatnich latach do nowego mieszkania, mógłby tu dorzucić wiele własnych uwag.

(Dokończenie na str. 6)



W wieżowcach ludzie niechętnie mieszkają.

na własny użytek, zebrane zostały w swego rodzaju „raportcie”, opracowanym przez doc. dr hab. Wandę Czecherdę. Ra-

ciaż przez całe te dziesięć lat mówiło się i pisało o koszarowości i brzydocie „mrówkowców”, o tym, że przytłaczają,

NIE W SIECI, NIE W POTRZASKU

Akceptacja modelu samorządu pracowniczego i przedsiębiorstw społecznych, tak jak to proponuje „Sieć”, sprowadza faktycznie państwo do struktury dyktandoj wojskiem, milicją i budynkami użyteczności publicznej — tak mniej więcej brzmi konkluzja wypowiedzi Andrzeja Kołakowskiego, I sekretarza KU PZPR Uniwersytetu Warszawskiego.

Nasza propozycja — ripostują Edward Nowak z huty im. Lenina i Adam Świnarski z PKS we Wrocławiu (te zakłady to dwa z 17 tworzących „Sieć Organizacji Zakładowych NSZZ „Solidarność” Wiodących Zakładów Pracy”) — wyzwała inicjatywę milionów pracowników, dynamizuje gospodarkę, eliminuje powtarzające się błędy centralnego planowania, czyni realnym samorząd, zwalniając państwo od biurokratycznych struktur zarządzania pozostawia mu w gestii politykę podatkową, celną, bankowo-kredytową dzięki której można sterować procesami ekonomicznymi.

W Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego obecnych kilkadziesiąt osób. Przysłuchują się panelowej dyskusji poświęconej koncepcji samorządów pracowniczych przygotowanej przez „Sieć” jako alternatywna wobec rządowego projektu ustawy o samorządach w przedsiębiorstwach państwowych.

Dyskusja jest trudna podobnie jak trudno ocenić, kto w niej ostatecznie zwyciężył; obie strony mają swoje istotne racje i przekonujące argumenty. Nie można przeczyć negować opinii wyrażanej przez Tomasza Stanekiewicza (członka grupy niezależnych ekspertów KKP NSZZ

„Solidarność”) o konieczności zastąpienia systemu nakazowo-rozdzielczego obowiązującego w planowaniu, systemem parametrycznym preferującym wykorzystywanie mechanizmów gospodarczych. Ale również oczywiste są stwierdzenia Pawła Chocholaka — dyrektora Biura Współpracy ze Związkami Zawodowymi URM — który określając dwie podstawowe jego zdaniem zasady, które powinny określać reformę 1): organizacja przedsiębiorstwa powinna chronić indywidualne interesy załogi; 2): organizacja przedsiębiorstwa powinna umożliwiać realizację celów społecznych, ogólnonarodowych, dowodzi, iż w „Solidarnościowych” projektach o tej drugiej normie jakoś zapomina się licząc na dobrą wolę i świadomość załóg. Czy jednak dobra wola i świadomość nie będą kończyć się tam, gdzie decydującym będzie zysk jako zasadnicza kategoria mechanizmów ekonomicznych rzutująca na płace i możliwości każdego oddzielnego działającego zakładu pracy?

Ludzie akceptują naszą propozycję, argumentują jedni uczestnicy panelu, wskazując, iż w ogólnokrajowej strukturze „Sieci” (owej siedemnastce) jest ponad 200 tysięcy robotników, techników i inżynierów. A jest jeszcze przecież i sieć w skali województw... Pięknie, pada kontrargument, ale czy interesy 200 tysięcy są zgodne czy przeciwstawne interesom kilku milionów obywateli ustawionych przez życie na słabszych ekonomicznie płaszczyznach? Czy można sądzić, iż pracownicy służby zdrowia, nauczyciele, łącznościowcy nie mówiąc już o emerytach i dencistach naprawdę be-

dą zachwyceni upowszechnieniem zasad proponowanej przez część ekspertów „Solidarności” tzw. socjalistycznej gospodarki rynkowej, w której normą byłaby znaczna nawet pełna dowolność ustalania cen na towary przez producenta?

Ale tak naprawdę istotą sporu nie są ceny, pojęcie zysku czy konieczność decentralizacji decyzji ekonomicznych do czego nikogo nie trzeba przekonywać. Spór toczy się o dyrektora — gdy mowa o charakterze i funkcjach samorządu, o realne formy władania przedsiębiorstwem, sterowania jego produkcją — gdy idzie o organizację zakładów produkcyjnych.

Rada pracownicza będąc organem samorządu, głosi § 8 projektu statutu samorządu pracowniczego (opublikowanego w początkach lipca w biuletynie informacyjnym NSZZ „Solidarność” Stocznim im. Komuny Paryskiej, także w innych biuletynach związkowych) „powołuje i odwołuje dyrektora przedsiębiorstwa”. O ile w rządowym projekcie samorządu dyrektor przedsiębiorstwa państwowego jest partnerem samorządu, to w projekcie „Solidarności” jest on tylko urzędnikiem samorządu, realizatorem jego decyzji.

Hasło „niech rządzą ci, co produkują” jest słuszne i mobilizujące do działania. Wracają jednak obawy żywołone przez dyr. Chocholaka, czy zawsze i bez wyjątku będą to rządy łączące w koncepcji interesy określonej załogi i interesy społeczne, daleko wykraczające poza zakładowe podwórko. Spór o pozycję dyrektora to coś znacznie więcej niż spór o tzw. nomenklaturę, spór o obsadzanie kierowniczych stanowisk drogą mianowania, wyboru czy konkursu. Istota tego sporu staje się jasna, gdy wczyta się w „sieciowy” projekt ustawy o przedsiębiorstwie społecznym. Wynika z niego, iż przedsiębiorstwo tworzy minister, naczelny organ administracji państwowej lub organ administracji terenowej, który przedsiębiorstwu przekazuje część majątku narodowego. Co to oznacza w praktyce, precyzuje § 2 art. 5 projektu: „Wyłącznym dysponentem majątku przedsiębiorstwa jest załoga działająca przez swo-

je organy samorządowe”. By nie było wątpliwości uprawnień dysponenta są ujęte w kilku innych artykułach, z których jeden praktycznie łamie monopol państwa jako pośrednika w handlu zagranicznym (art. 7: „Przedsiębiorstwo społeczne może łączyć się z podmiotem zagranicznym”), inny zaś praktycznie eliminuje państwo — było nie było fundatora przedsiębiorstwa — od udziału w podejmowaniu zupełnie zasadniczych decyzji (art. 15: „Decyzje w sprawie łączenia, podziału i likwidacji przedsiębiorstwa zapadają w drodze referendum załogi”).

Projekt „Sieci” czyni z państwa jedynie dystrybutora mienia narodowego sukcesywnie przekazanego załogom i ich samorządom we władanie. Państwo według projektu (rozdział „Nadzór państwowy”) ma w swej gestii podatki, cla i kredyty, pewne tylko kategorie cen, może ingerować w wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa „tylko w granicach uprawnień ustawowego”. Rzecz w tym, iż uprawnienia te są, przynajmniej w omawianym projekcie, minimalne, tym bardziej, iż art. 55 projektu „Sieci” stanowi: „Wnieście sprzeciwu (przez przedsiębiorstwo wobec decyzji wydanych przez organy państwowe) wstrzymuje wykonanie decyzji”; spór rozstrzyga sąd powszechny powszechny. Państwo co prawda ma decydować o przenaczeniu majątku w przypadku jego likwidacji, ale i tutaj organy państwa zobowiązane zostają do zasięgnięcia opinii załogi.

Projekty „Sieci” dotyczące samorządu i przedsiębiorstwa społecznego mają jedną niewątpliwą zaletę merytoryczną — eksponują formułę samorządu — i jedną zaletę formalną — są zwarte, pisane prostym, zrozumiałym dla każdego językiem. Oba te projekty mają jednak zasadniczą wadę, tak sądzi przynajmniej

piszący te słowa: pomijają konsekwentnie ogólnospołeczne interesy całego społeczeństwa, a także determinowane racjami wyższego względu interesy państwa, preferując zdecydowanie interesy grupowe. Choć autorzy projektu oponują przeciwko takiemu zarzutowi w dyskusjach i publicznych prezentacjach swych koncepcji, wątpliwości są zasadne.

Zgoda co do tego, że projekty „Sieci” dynamizują przedsiębiorstwa, mobilizują załogi do pracy, oszczędności, starań o efektywność produkcji. Jednocześnie jednak państwo zostaje pozostawione gdzieś z boku, państwo jako struktura bacząca na wspólne korzyści, na wspólne interesy. Zyskują w efekcie słini ekonomicznie producenci. Pięknie, ale jaki będzie los słabszych? Nie jestem pewien, czy społeczeństwo z aplauzem przyjąłoby przekazywanie poszczególnym grupom pracowników w pełne władanie ogólnonarodowych dotąd dóbr. Znow: pięknie, jeśli załoga i jej samorząd okaże się dobrym gospodarzem. Co jednak, gdy okaże się złym? Będzie referendum i „organ państwowy” przejmie masę upadłości. Niezbyt zachwycająca to perspektywa.

Panel na Uniwersytecie Warszawskim trwał 4 godziny. Wymieniono wiele uwag i przedstawiono wiele koncepcji. Wniosek jest jeden: ani aktualne projekty rządowe ustaw o samorządzie i przedsiębiorstwach państwowych nie zadawają w pełni załóg, ani projekty „Sieci” nie spełniają oczekiwań państwa jako rzecznika interesu publicznego. Trzeba znaleźć złoty środek, by zarówno przedsiębiorstwa i załogi, jak państwo i ogół obywateli nie znaleźli w sieci nadmiernych swobód, ani w potrzasku biurokratycznego dyktatu.

Jerzy A. Salecki

Kwiaty



piękne w ogródku



i domu.

MIESZKANIA DZIŚ I JUTRO

Pragnienia „anonimowego odbiorcy”

(Dokończenie ze str. 5)

Masowe przestawianie wianien i zlewozmywaków, przesuwanie kaloryferów, umieszczanych przez projektantów w najbardziej eksponowanych miejscach jako wspaniała ozdoba — potwierdza, że nie chodzi tu o zwykłe grymaszenie.

W rezultacie badania Instytutu Kształtowania Środowiska stanowią jeszcze jedno oskarżenie naszej architektury, od której od lat oczekujemy dobrze zaprojektowanych mieszkań, a która wciąż raczy nas towarami wątpliwej jakości.

Bardzo to chwałebne, że naukowcy interesują się opiniami na temat mieszkań, że na podstawie tych opinii formułują wnioski, które są przedstawiane rządowi. Zwracam jednak uwagę, że sondaże przeprowadzono wśród rodzin, które mieszkania już miały. Nie słyzałam natomiast o jednej choćby ankiecie, badającej opinie przyszłych lokatorów. Czyli tych, których ja-

kość nowego budownictwa najbardziej obchodzi. Dla których buduje się nowe domy i osiedla, a których głosu nigdy się nie słucha.

Rodzina, która stawia sobie dom jednorodzinny, sama wybiera projekt budynku, albo zleca jego wykonanie. Określa położenie domu, sposób jego budowy. Rodzina, która stara się o mieszkanie spółdzielcze jest „anonimowym odbiorcą” (tak to się oficjalnie nazywa) bez prawa do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Musi brać to, co jej dają. Właściwie — dlaczego? Budownictwo mieszkaniowe realizowane jest w dużym stopniu ze środków własnych społeczeństwa. Według danych docenta W. Dominiaka środki te sięgały w latach siedemdziesiątych 52 procent nakładów na całą gospodarkę mieszkaniową. A kredyty także trzeba zwracać. Dlaczego zatem spółdzielnia musi kupować kota w worku?

Dotychczas sprawa kształtu i wielkości domów oraz jakości nowych mieszkań rozgrywana była w praktyce między dwoma ogromnymi „przedsiębiorstwami”: spółdzielczością i budownictwem. A ponieważ budownictwo było stroną silniejszą, do niego w gruncie rzeczy należały decyzje. Znamy to, znamy. Co nie znaczy, że mamy nadal tolerować.

Zbyt już długo mówiono tylko o planach i o „przerobach”, zapominając, czemu to wszystko służy. Zapominając o spółdzielcach. Spychając ich do roli „anonimowych odbiorców”, których się uszczęśliwiano na siłę. Do dziś, chociaż bujnie nam kwitnie odnowa, decyzje członków spółdzielni w sprawie przyszłego mieszkania ograniczają się do wpisania w odpowiednich rubrykach liczby oczekiwanych „emów”. Dlaczego? Kiedy wreszcie postulat tak oczywisty, jakim jest słuchanie przede wszystkim głosu przyszłych lokatorów, przebieje się przez mur spółdzielczej biurokracji? I trwających do dziś budowlanych nonsensów?

Urszula Szyperska

Dekadówka Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Swidnik”
Adres redakcji: 21-040 Swidnik, ul. Przdowników Pracy 1, tel. 120-61 wew. redakcji 51-51 i 53-67 rozgłoski 51-52. Redaguje zespół w składzie: Maria Balicka (redaktor naczelny), Mieczysław Kruk, Jerzy Jurak, Irena Wierczoch, Ewa Urbaska. Korekta: Barbara Ciołek. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca oraz zastrzega sobie prawo skrótów.
WSK-S z. 523 3.08.81 r. — 3000 N-1

PODZIĘKOWANIE

Dziękuję wszystkim przyjaciółom, którzy wzięli udział w ostatniej drodze TEODORA MAK-SYMIUKA.

Wanda Maksymiuk